

V. ROZMOWY I WSPOMNIENIA

DZIENNIK CZYNNOŚCI ZOFII CIEŚLANKI

Wstęp

„Dziennik czynności Zofii Cieślanki” to notatnik o wymiarach 10 x 15,5 cm, w twardej oprawie oklejonej czarnym płótnem. Strony są kratkowane, brzegi kart barwione na czerwono. Tekst dziennika zajmuje mniej więcej 1/3 objętości notatnika. Pozostałe karty są niezapisane. Zapiski obejmują okres od 7 do 28 września 1939 roku. Między strony notatnika włożono dziewięć luźnych kartek o nieco mniejszych rozmiarach, cienkich, koloru żółtawego, na których, jak wynika z dat, dopisano część wcześniejszą tekstu dziennika z okresu od 28 sierpnia do 6 września 1939 roku. Dziennik pisany był piórem wiecznym. Pismo jest regularne, czytelne, kolor atramentu nieznacznie wyblakły. *Nota bene* ten charakter pisma znamy dobrze z dokumentacji inwentarzowej Muzeum, ponieważ szereg wpisów do ksiąg inwentarzowych, jak i kartkowego katalogu sporządziła Pani Zofia. Ostatni wpis do „Dziennika” to data 28 września, a potem niespodziewanie, dla czytelnika, pojawia się krótki wpis dokonany inną ręką: „tu pisanie pamiętnika urwało się. Może dlatego że właśnie wróciłem z «wycieczki» na wschód i Zocha się czymś innym zajęła. Pamiętnik znalazłem i przeczytałem 20 XI 1994 już w 2 lata po śmierci Zochy. Smutno. Roman”.

Zofia Cieślanka¹ (1910-1993), późniejsza żona Romana Reinfussa, absolwentka geografii Uniwersytetu Jagiellońskiego, rozpoczęła pracę asystentki w Muzeum Etnograficznym w Krakowie od 1 lutego 1937 roku. Jej zadania związane były głównie z organizacją oddziału Muzeum noszącego nazwę Muzeum Ziemi Krakowskiej, a usytuowanego w Pałacu Wołodkowiczów przy ulicy Lubicz 4, tuż przy dworcu kolejowym. Oddział ten został otwarty w czerwcu 1939 roku i składał się wyłącznie z ekspozycji prezentującej ludową kulturę Krakowiaków. Zofia Cieślanka pracowała w Muzeum do końca września 1939 roku, to jest do momentu jego zamknięcia. Późniejsza jej praca to zatrudnienie w instytucjach niemieckich, w tym od maja 1941 roku w Institut für Deutsche Ostarbeit, do którego włączono bibliotekę Muzeum, Instytutu Geografii UJ oraz lwowską bibliotekę Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Pracując w sekcji etnograficznej Instytutu, sprawowała między innymi

¹ Właściwie Zofia Cieśla.

konspiracyjną opiekę nad jej zasobami. Po wojnie ponownie pracowała w Muzeum Etnograficznym w Krakowie od 1945 do października 1946 roku oraz od 1 czerwca 1967 do 30 września 1975 roku jako kustosz i kierownik Działu Obrzędów.

Kiedy Zofia Cieślanka pisała swój „Dziennik”, nie była jeszcze żoną Romana Reinfussa; sympatyzowali ze sobą, ale pisała ciągle jeszcze o nim „p. R.” lub „p. Roman”. Obydwoje zaangażowani byli w sprawę ocalenia Muzeum Etnograficznego w Krakowie podczas II wojny światowej. Dlatego nieodzowna wydaje się potrzeba krótkiego przypomnienia postaci Profesora Romana Reinfussa, tylko w tym muzealnym kontekście.

Roman Reinfuss (1910-1998), z wykształcenia prawnik i etnograf, był zatrudniony w Muzeum Etnograficznym w Krakowie od 1 października 1936 roku jako asystent, a od stycznia 1937 roku jako kustosz. W okresie okupacji niemieckiej pracował nadal w Muzeum, zamkniętym wówczas dla publiczności. Władze niemieckie zleciły mu przeprowadzenie inwentaryzacji zbiorów, a następnie przygotowywały je do podziału, w celu włączenia części kolekcji do muzeów niemieckich oraz fizycznej likwidacji tych eksponatów, które nie służyły ilustrowaniu teorii o wpływach niemieckich na Wschodzie. Praca nielicznych Polaków mających dostęp do zbiorów polegała także na umiejętnym sabotowaniu zamierzeń niemieckich oraz na wykradaniu dokumentacji, cenniejszych obiektów oraz czuwaniu nad bezpieczeństwem zbiorów. Po wojnie Roman Reinfuss pracował w Muzeum do 28 lutego 1951 roku jako kustosz i zastępca dyrektora. W późniejszych okresach jego związki z Muzeum sprowadzały się do przewodniczenia Radzie Naukowej Muzeum oraz udzielania cennej i życzliwej pomocy merytorycznej. Zofia i Roman Reinfussowie związani byli bardzo silnie z Muzeum Etnograficznym w Krakowie, a do dziś tę tradycję rodzinną kontynuuje starszy kustosz Krystyna Reinfuss-Janusz, magister etnografii, ich młodsza córka.

Warto w tym miejscu przypomnieć początki istnienia Muzeum, gdyż wyjaśni to po części sytuację zbiorów na początku wojny. Powstało w 1911 roku jako rezultat starań członków Towarzystwa Muzeum Etnograficznego w Krakowie, a wśród nich – niestrudzonego ludoznawcy i zbieracza Seweryna Udzieli (1857-1937), którego zbiory stanowiły podstawę założenia Muzeum. Było ono własnością Towarzystwa. Będąc instytucją prywatną, borykało się z wieloma trudnościami lokalowymi i finansowymi, nie mając wsparcia władz. Pierwszą jego siedzibą były trzy pomieszczenia w oficynie domu przy ul. Studenckiej 9 w Krakowie. Po dwu latach starań dyrektora Seweryna Udzieli oraz prezesa Towarzystwa Muzeum Etnograficznego Juliana Talko-Hryncewicza², Muzeum przeniosło się w 1913 roku do pomieszczeń dawnego seminarium św. Michała na wzgórzu wawelskim. Tam, mimo fatalnego stanu technicznego budynku, zorganizowano stałą wystawę, a pracownicy prócz działalności edukacyjnej prowadzili prace badawcze i publikowali ich wyniki. W 1937 roku dyrektorem Muzeum został Tadeusz Seweryn (1894-1975)³. We wrześniu 1939 roku, po zajęciu Wawelu przez

² Prof. dr Julian Talko-Hryncewicz (1850-1936), lekarz, antropolog i etnograf, badacz Syberii, profesor uniwersytetów Wileńskiego i Jagiellońskiego, członek Akademii Umiejętności i później Polskiej Akademii Umiejętności, jeden z założycieli Muzeum Etnograficznego w Krakowie.

³ Prof. dr Tadeusz Seweryn (1894-1975), etnograf, malarz, grafik, muzeolog i badacz kultury ludowej, dyrektor Muzeum Etnograficznego w Krakowie w latach 1937-1965, z przerwą w okresie 1939-1945, gdy zaangażowany był w podziemnych organizacjach ruchu oporu ZWZ AK, kierował Ruchem

hitlerowców, zbiory zostały spakowane i przeniesione do pomieszczeń tymczasowych w budynku Biblioteki Jagiellońskiej. Część dokumentacji, w tym katalog zbiorów, katalog biblioteki, pojedyncze eksponaty i książki z biblioteki muzealnej, wykradła i przechowała w swoim mieszkaniu pracownica Muzeum Lutosława Hajówna. Tuż po wojnie zbiory przeniesiono do budynków koszar przy ul. Warszawskiej, w pobliżu dworca kolejowego, by w 1947 roku ulokować je ostatecznie w obszernym budynku poszkolnym na Placu Wolnica, gdzie znajdują się po dziś dzień. Pierwotnie był to ratusz miasta Kazimierza, zbudowany w XV wieku i aż do końca wieku XIX wielokrotnie przebudowywany. Po definitywnym włączeniu Kazimierza do Krakowa w 1800 roku zmienił swą funkcję. Początki reaktywacji działalności Muzeum Etnograficznego w Krakowie tuż po zakończeniu wojny, pod nieobecność przedwojennego dyrektora Tadeusza Seweryna, spadły na barki Romana Reinfussa. On to wraz z żoną i kilkoma współpracownikami rozpoczął w swym mieszkaniu pracę muzealną.

Dlaczego Zofia Cieślanka nagle zaczęła spisywać „swoje czynności”, jak to nazywała? Nie był to zwykły, stosowany w wielu instytucjach dziennik pracy. Analiza tekstu wykazuje, że dziennik zawiera wiele innych informacji, nie zawsze związanych z pracą, ale ważnych z punktu widzenia autorki. Pogłosek o nadciągającej wojnie nie traktowano poważnie. Ale już pod datą 28 sierpnia 1939 roku autorka pisze, że od tego dnia rozpoczęto pakowanie zbiorów. Polecenie wydał Roman Reinfuss, pod nieobecność ówczesnego dyrektora Tadeusza Seweryna, który – zajęty kontaktami z urzędami – rzadko bywał w Muzeum. Z tekstu „Dziennika” dowiadujemy się, że Lutosława Hajówna także pisała swój dziennik, który niestety się nie zachował. Czas był niezwykle, pełen niepokoju i jednocześnie intensywnej pracy muzealnej, pracy ponad siły, i zapewne poczucie niezwykłości sytuacji oraz obawa przed umknięciem z pamięci szczegółów tego okresu skłoniła autorki do pisania. W końcu „Dziennik czynności Zofii Cieślanki” przeobraził się w pamiętnik, gdzie obok informacji o charakterze wykonywanych prac pojawiały się, czy wręcz zaczęły dominować, opisy sytuacji życiowej rodziny, znajomych, sceny z życia miasta. Dlatego „Dziennik” stał się dokumentem niezwykle ciekawym. Przede wszystkim dowiadujemy się z niego, jak krakowianie przeżywali początek II wojny światowej. Relacja spisywana na bieżąco pełna jest emocji, informacji o drobnych z pozoru faktach. Nie jest ona „obciążona” wiedzą o późniejszych wydarzeniach. Zapis pełen jest skrótów, styl relacji „telegraficzny”. Mimo niewielkiej objętości, autorka zawarła tu nadspodziewanie dużo informacji. Dotyczą one przede wszystkim różnorodnych spraw związanych z historią Muzeum, ale także innych dramatycznych wydarzeń „w mieście”, a także opisów stanu ducha autorki i jej bardzo osobistych przeżyć. Pierwsze miesiące 1939 roku w Krakowie zostały opisane przez historyków; z oczywistych względów relacje te pozbawione są emocji. Tym ciekawsza jest opowieść naszej autorki. Wiadomo na przykład, że miasto w czasie II wojny światowej nie ucierpiało wiele w porównaniu z innymi, ale znacznych zniszczeń w Krakowie dokonały właśnie naloty w pierwszych dniach wojny, o których pisze

Oporu Społecznego, zorganizował na terenie Krakowa Radę Pomocy Żydom – „Żegota” oraz podziemną radiostację nigdy nie wykrytą przez okupanta. Po wojnie aresztowany przez SB, wrócił do Muzeum w 1945 r., w 1965 przeszedł na emeryturę.

Cieślanka. Z „Dziennika” dowiadujemy się, że już 1 września bombowce atakowały strategiczne cele Krakowa, a 4 września hitlerowcy zajęli Wawel. Historycy jednak jako datę formalnego zajęcia Krakowa przyjmują 6 września 1939 roku.

Zofia Cieślanka była osobą młodą, jako małe dziecko przeżyła pierwszą wojnę światową, ale później z pewnością nie raz słyszała, żywe ciągle, wspomnienia z tej wojny – szczególnie okrutnej na południu Polski. Znając wartość zbiorów, czuła się za nie odpowiedzialna, pragnęła ochronić je przed zagładą. Taką postawą i wykonywanymi „czynnościami” narażała swoje zdrowie, a nawet życie, by zabezpieczyć powierzone jej pieczy dobra kultury. Odczuwała głęboką troskę o ich losy, aż do fizycznego bólu, o którym pisze. Martwiła się zniszczeniami, jakich dopuścili się żołnierze i starała się odzyskać, wraz z Lutosławą Hajówną, ukradzione eksponaty, co im się po części udało. Przez cały „Dziennik” przewija się troska o zbiory, uwagi na temat ich pakowania i zabezpieczania, ale jednocześnie czuje się wiarę autorki w to, że zbiory ocaleją i wrócą w przyszłości do Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Wielu ludzi z pewnością nie podzielało takiego optymizmu. „Dziennik czynności Zofii Cieślanki” przeleżał od września 1939 roku do 20 listopada 1994 roku w zapomnieniu, pomiędzy „papierami Zochy”, w mieszkaniu państwa Reinfussów. Profesor Reinfuss przez te wszystkie lata nie wiedział o jego istnieniu. Odnalazł go, porządkując po śmierci żony jej osobiste rzeczy i dopisał kilka wzruszających słów. Kilka miesięcy później pokazał go nam (tj. Marii Zachorowskiej – ówczesnemu dyrektorowi Muzeum Etnograficznego w Krakowie i Andrzejowi Ratajowi – wicedyrektorowi Muzeum ds. naukowych) z propozycją, abyśmy „coś pożytecznego z tego zrobili”. Sącząc znane znajomym i przyjacielom Profesora wino marki „Vinrom”⁴ (doskonałe, produkowane przez Profesora wino z czerwonych i czarnych porzeczek) zdecydowaliśmy, że Profesor rozszyfruje skróty i załączy informacje o osobach, których inicjały, czy tylko imiona, autorka zamieściła w tekście, a Andrzej Rataj przepisze tekst dziennika i wykona wstępną redakcję całości tekstu. Ponadto Profesor napisał komentarz zatytułowany „Parę słów wprowadzenia”, wyjaśniający wiele faktów, o których na bieżąco pisała Zofia Cieślanka, i wyraził zgodę na wydanie tych tekstów przez nas jako osobnej publikacji, bądź jako artykułu w „Roczniku Muzeum Etnograficznego w Krakowie”. „Dziennik” został zaprezentowany jako ważny eksponat podczas trwania wystawy poświęconej historii Muzeum z okazji 95 rocznicy jego powstania, a jego fragmenty wraz z komentarzem Profesora i wstępem autorstwa Andrzeja Rataja zostały odczytane podczas konferencji towarzyszącej rocznicowej wystawie. Niestety do dzisiaj nie udało się udostępnić tych materiałów szerszemu gronu czytelników⁵. Osoby związane z Muzeum miały zawsze nadzieję, że wcześniej czy później to nastąpi.

⁴ W czasach PRL firma „Vinprom” była jedynym dystrybutorem win; „Vinrom” stanowi żartobliwą nazwę marki wina produkowanego przez Profesora.

⁵ Muzeum wydawało w tym czasie tomy tematyczne „Rocznika” i tekst dzienniczka oczekiwał na swoją kolej. Po naszym odejściu na emeryturę nowe władze instytucji skierowały politykę wydawniczą na inne tory. Ponadto tekst był zbyt długi, aby ukazać się jako artykuł, a jednocześnie zbyt krótki, aby wydrukować go jako osobną pozycję. Próby zainteresowania nim Muzeum Historycznego miasta Krakowa, jak i Muzeum Etnograficznego im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej w Toruniu (wydawcy serii „Etnografia ocalona”) nie powiodły się.

Potrzeba prowadzenia badań nad historią polskiej etnografii czy szerzej – polskiej humanistyki, potrzeba ujawniania dokumentów i spisywania wspomnień jest niezmiernie ważna. Dotyczy to przede wszystkim okresów słabo dokumentowanych, a przez to ulegających często nieświadomym deformacjom wynikającym z braku wiarygodnych źródeł. Takim okresem są lata okupacji niemieckiej. Pojawiały się przecież zarzuty kolaboracji wobec osób pracujących w niemieckich instytucjach, podczas gdy pracę tę podejmowano głównie z polecenia władz Polski podziemnej. Zadaniem tych osób było wykradanie i ukrywanie lub przynajmniej strzeżenie zanektowanych przez władze okupacyjne zbiorów muzealnych, archiwalnych i bibliotecznych oraz dokumentowanie ich losów. Osoby występujące w „Dzienniku” pełniły w kolejnych miesiącach i latach okupacji takie właśnie funkcje. Ówczesny dyrektor Muzeum, Tadeusz Seweryn, ukrywał się, i jego działalność w Armii Krajowej i władzach Polskiego Państwa Podziemnego nie miała związku z okupacyjną historią Muzeum. Roman Reinfuss, jak już wspomniano wyżej, opiekował się zbiorami muzealnymi, na polecenie władz okupacyjnych przygotowywał je do przekazania, opóźniając ich inwentaryzację i pakowanie.

My – tak zwani „starzy pracownicy muzeum” (dziś już emeryci), wiemy, że dzięki tym odpowiedzialnym postawom pracowników Muzeum Etnograficznego w Krakowie na początku wojny i dalszym działaniom już w „Dzienniku” nie opisanym, zbiory prawie w całości przetrwały wojnę i do dziś znajdują się w Muzeum. Postawa Zofii Cieślanki, Romana Reinfussa, Lutosławy Hajówny i kilku innych osób, o których wspomina autorka, powinna być wzorem postępowania muzealnika, który z całą odpowiedzialnością w każdej sytuacji troszczy się o bezpieczeństwo zbiorów.

* * *

Poniżej przytaczamy oryginalne teksty „Dziennika czynności Zofii Cieślanki” oraz „Parę słów wprowadzenia” napisanych przez profesora Romana Reinfussa, wraz z objaśnieniami dotyczącymi osób występujących w „Dzienniku”. Z myślą o pełniejszym zrozumieniu treści, w nawiasach kwadratowych umieszczamy uzupełnienia, a także przypisy do tekstów.

Maria Zachorowska i Andrzej Rataj

Parę słów wprowadzenia

W ostatniej dekadzie sierpnia [1939 r.] przebywałem na badaniach terenowych w okolicach Sanoka. Gdy na rynku powiatowej stolicy zaczęto kopać schrony przeciwlotnicze, wróciłem do Krakowa, gdzie również na każdym kroku widać było gorączkowe przygotowania do obrony. Na Wawelu przed budynkiem, gdzie wówczas

mieściło się Muzeum Etnograficzne, też kopano rowy, a na Zamku odbywał się kurs sanitarny i obrony przeciwlotniczej dla pracowników i mieszkańców Wawelu. Przez radio informowano o konieczności zaopatrywania się w czarny papier do zaciemnienia okien i taśm do zalepiania szpar na wypadek ataku gazów bojowych.

Gdy przybyłem do Muzeum, dyrektora akurat nie było, więc nie porozumiewając się z nikim, zarządziłem zamknięcie wystawy dla publiczności i rozpoczęliśmy pakowanie zbiorów na wypadek ewakuacji. Wraz z dwoma asystentkami, mgr Zofią Cieślanką i Lutosławą Hajówną, zaczęliśmy likwidować ekspozycje, korzystając z pomocy woźnego Stanisława Małysy (którego już na drugi dzień powołano do wojska) i nieocenionej Reginy Kawy de Zielonki, jak nazywaliśmy żartobliwie pracującą od lat sprzątaczkę, angażowaną jeszcze do pracy przez Seweryna Udzielę. Przebywała z nami również przysłana z Warszawy praktykantka Władysława Trębska, która nam jednak zbyt wiele nie pomagała, gdyż myślała jedynie o powrocie do Warszawy, na co jednak dyrektor, doc. dr Tadeusz Seweryn nie chciał się zgodzić. Uspokajał ją, że jak będzie naprawdę trzeba, to ją odeśle do mamy pod opieką przystojnego oficera.

Popędzani strachem, pracowaliśmy szybko. Dyrektor pojawiał się rzadko i wpadał tylko na chwilę, żeby nam opowiedzieć, co się dzieje w mieście, co mówią ludzie, a co powiedziało w języku polskim Deutsche Rundfunk Breslau, a co nadawało radio Warszawa. Przy którymś tam z kolei razie, nie wytrzymałem – i przeprosiłem Dyrektora, żeby nam nie przerywał pracy, bo parafina do napuszczania papierów stygnie i trzeba wszystko zaczynać od początku. Dyrektor poczuł się urażony⁶. Nazwał mnie panikarzem, a całą naszą robotę za szkodliwe podsycanie nastrojów wojennych. Poleciał otworzyć ekspozycję dla publiczności, a nam zająć się normalną pracą inwentaryzacyjną. W tej sytuacji musieliśmy przerwać pakowanie w godzinach pracy i kontynuować je konspiracyjnie w godzinach popołudniowych i w nocy. Pomagali nam w tym dwaj koledzy socjologowie, mgr Witold Zbierowski i mgr Jan Szmek oraz zaprzyjaźniona z nami studentka etnografii Maria Jakubowska. Moje służbowe mieszkanie, które miałem przy muzeum, służyło wszystkim. Jeśli ktoś chciał się zdrzemnąć, a brakło miejsca, służyło też łóżko w „izbie spiskiej”, gdzie znajdowały się zbiory ofiarowane dla Muzeum przez ks. Józefa Świszka, proboszcza w Kacwinie.

Gdy 1 września spadły na Kraków pierwsze bomby, zbiory etnograficzne na Wawelu były już prawie w całości spakowane i gotowe do ewakuacji. Wtedy dyrektor, doc. Seweryn polecił Zofii Cieślance i Ludosławie Hajównie likwidować wystawę w Muzeum Ziemi Krakowskiej znajdującym się w pobliżu dworca kolejowego, gnębionego ustawicznymi nalotami niemieckich bombowców. Do pomocy przydzielił doc. Seweryn obydwu asystentkom doraźnie zaangażowanego pracownika, niejakiego Kowalskiego, który na ręcznym, czterokołowym wózku przewoził wraz z niemi eksponaty na Wawel, gdzie ja pakowałem je z Resią [Kawą]. Nasi nocni pomocnicy ulotnili się całkowicie.

⁶ Tadeusz Seweryn i Roman Reinfuss, mówiąc delikatnie, nie darzyli się zbyt dużą sympatią. Ta animozja ujawniła się także po wojnie i była przyczyną konfliktu, który zakończył się odejściem Reinfussa z Muzeum.

W niedzielę rano, a było to, jeśli dobrze pamiętam, 2 września, przekradając się od sieni do sieni, między bombardowaniem udałem się na ulicę Szlak, gdzie pod nr 19 mieszkała na pierwszym piętrze Zofia Cieślanka ze swoją przyrodnią siostrą Heleną. Przed chwilą na ulicy Łobzowskiej, przed kościołem sióstr karmelitanek spadła bomba. Gdy skręciłem na Szlak, zobaczyłem przed sobą dwóch mężczyzn, którzy prowadzili okrwawioną i ślaniającą się kobietę. Jak się później okazało, była to siostra Zofii, Helena Cieślanka. Zofię zastałem na parterze w otoczeniu grupy rozhisteryzowanych sąsiadów. Tam prawdopodobnie byli pp. Jar, Wyrobisz, Wyrobek, czy Czyżyk, o których wspomina Autorka w swoim pamiętniku. Helena Cieślanka została poraniona odłamkami muru po wybuchu bomby, gdy wychodziła z kościoła na ulicy Łobzowskiej. O wezwaniu pogotowia czy jakiegoś lekarza nie było mowy. Założyliśmy więc prowizoryczne opatrunki, po czym wróciłem na Wawel.

Wiadomo już było, że dla naszych zbiorów nie ma żadnych możliwości ewakuacji, nie miały ich również Państwowe Zbiory na zamku. Przy pomocy przypadkowych pomocników przenieśliśmy z Resią skrzynie ze zbiorami etnograficznymi i nasze prywatne rzeczy do głębokich piwnic pod Zamkiem, gdzie były przynajmniej zabezpieczone przed bombardowaniem. Stało się jasnym, że wkrótce Niemcy zajmą Kraków. W mieście zaczęła się gwałtowna i zupełnie bezładna ewakuacja ludności, która pieszo i różnymi środkami lokomocji uciekała w kierunku Bochni. Komunikaty radiowe nakazywały, aby wszyscy młodzi mężczyźni ewakuowali się wraz z wojskiem.

Trzeciego września koło południa pożegnałem się matką i Reginą Kawą (asystentek ani dyrektora wtedy nie było) i z jednym z woźnych zamkowych, którego nazwiska niestety nie pamiętam, pojechaliśmy rowerami na wschód zgłaszając się po drodze bezskutecznie do wojska we wszystkich napotkanych większych miastach aż po Kobryń na granicy Polesia. W tym samym dniu dyrektor doc. Seweryn wyjechał do Lwowa. Nasza Warszawianka, Władysława Trębska (późniejsza mgr Kolago) opuściła Kraków galarem, na którym popłynęły Wisłą bezcenne wawelskie arraszy. Matka moja ulegając ogólnej psychozie wraz ze swą siostrą dotarły pieszo do Staszowa, skąd na poranionych nogach wróciły widząc bezsens dalszej wędrówki.

Muzeum Etnograficzne i jego złożone w podziemiach zbiory zostały jedynie pod opieką Resi i dwóch asystentek, mgr mgr Zofii Cieślanki i Lutosławy Hajówny. Jak to wyglądało, opowiada Zofia Cieślanka. Notatki jej pisane początkowo na luźnych karteluszkach, w panice, między wybuchami bomb, uspokajają się i stają bardziej rzeczowe po tygodniu, gdy zaczyna się normalna zmora okupacyjna.

Podobnie jak Cieślanka, pisała swoje notatki Lutosława Hajówna. Niestety, Autorka ich nie żyje, ani nikt z jej rodziny, przepadły też jej zapiski.

Wyjaśnienie skrótów i informacja o osobach spisana przez prof. Romana Reinfussa

- Lutka** – mgr Lutosława Hajówna, pracownica Muzeum Etnograficznego [właściwie Lutosława Haja (1909-1971), geografka i etnografka, od 1933 r. pracownica Muzeum Etnograficznego w Krakowie z przerwą w okresie okupacji niemieckiej 1939-1945, do 1969 r., kiedy przeszła na emeryturę].
- Pan R.** – mgr Roman Reinfuss, kustosz Muzeum Etnograficznego [Prof. dr Roman Reinfuss (1910-1998), prawnik i etnograf, autor wielu publikacji etnograficznych, kustosz Muzeum Etnograficznego w Krakowie w latach 1936-1951 (z wojenną przerwą). Od 1946 do 1980 r. kierował sekcją zdobnictwa w Państwowym Instytucie Badania Sztuki Ludowej Polskiej Akademii Nauk i jego późniejszymi mutacjami, gromadząc bezcenne dla nauki materiały opisowe dotyczące polskiej kultury ludowej. Po likwidacji tej placówki zbiory przejęło Muzeum Etnograficzne im. Seweryna Udzieli w Krakowie].
- Pan Z.** – mgr Witold Zbierowski, socjolog, kolega p. R. pomagający przy pakowaniu zbiorów.
- Pani R-owa** – Zofia Reinfussowa, matka Romana Reinfussa.
- Resia** – „Regina Kawa de Zielonki”, sprzątaczką muzealną.
- P. Polk** – inżynier Polkowski, pracownik Państwowych Zbiorów na Wawelu [Józef Aleksander Krzywda-Polkowski (1888-1981), architekt, pracownik służb odnowy Zamku Królewskiego na Wawelu].
- St.** – mgr Stanisław Nowak, kuzyn mgr Zofii Cieślanki.
- P. Hojel.** – ?
- Hela** – Helena Cieślanka, przyrodnia siostra Zofii, nauczycielka.
- P. Jar, p. Wyrobek, p. Grzech, p. Czyżyk** – prawdopodobnie sąsiedzi mgr Zofii Cieślanki z kamienicy przy ul. Szlak 19, gdzie mieszkała.
- Iza** – mgr Izabela Dubikówna, historyk sztuki, pracująca początkowo w Muzeum Etnograficznym, następnie przeniesiona do Państwowych Zbiorów na Wawelu.
- P. Wyr.** – p. Wyrobisz.
- P. Grz.** – p. Grzech.
- Warszawianka** – Władysława Trębska, późniejsza mgr Władysława Kolago, pochodząca z Warszawy, która jako studentka etnografii odbywała praktykę w Muzeum Etnograficznym [Władysława Kolago, z d. Trębska (1910-1986), etnografka, autorka *Stroju kołbielskiego*, w serii Atlas Polskich Strojów Ludowych, t. 4, PTL 1970].
- Wanda, Urszula** – koleżanki Z. Cieślanki z gimnazjum lub ze studiów.
- Pan Borgel** – organista z katedry wawelskiej, mieszkający na Wawelu, który po zajęciu Krakowa przez Niemców ujawnił się jako Volksdeutsch i został przejściowo zarządcą Wawelu z ramienia Niemców.
- Pan Bohusz** – prof. Adolf Szyszko Bohusz [1883-1948], dyrektor Zbiorów Państwowych na Wawelu [architekt, od 1916 r. pracował jako kierownik prac renowacyjnych w Zamku Królewskim na Wawelu do 1946 r. – z wojenną przerwą, *de facto* był dyrektorem Wawelu].
- Pan Ziobro** – pracownik Państwowych Zbiorów na Wawelu.

- Pani Sewerynowa** – żona doc. Tadeusza Seweryna, dyrektora Muzeum Etnograficznego [Teresa z Sobolewskich Seweryn].
- Marynia** – pomocnica domowa siostr Cieślanek.
- Kowalski** – dorywczo angażowany przez dyrektora Tadeusza Seweryna, pracownik zatrudniony do przewożenia zbiorów z Muzeum Ziemi Krakowskiej na Wawel.
- Ks. Figlewicz** – mieszkaniec Wawelu stale zatrudniony przy wawelskiej katedrze [ks. Kazimierz Figlewicz (1903-1983) – od 1933 r. wikariusz, potem proboszcz w Katedrze na Wawelu, do końca życia z nią związany, znawca jej zabytków i historii. W czasie okupacji jako jedyny miał prawo odprawiać mszę św. dwa razy w tygodniu, lecz bez udziału wiernych i pod nadzorem niemieckich policjantów].
- Dr. Rose** – lekarz mieszkający przy ulicy Grodzkiej.
- Ks. Józef Świstek** [1894-1956] – proboszcz w Kacwinie na Spiszu, darodawca swych zbiorów do Muzeum Etnograficznego w Krakowie; zbiory znalazły swe miejsce w osobnym pomieszczeniu nazwanym „Izba ks. Świstka”.
- Hanka S.** – zapewne koleżanka z gimnazjum lub studiów uniwersyteckich.
- Jasia** – kilkoletnia córka p. Dubisowej.
- Pani Dubisowa** – sąsiadka, żona urzędnika pocztowego mieszkająca na II piętrze przy ul. Szlak 19.
- Dr. praw adwokat Roland Goryczko** – urzędnik tymczasowego Zarządu Miasta [Roland Goryczko (1907-1983), znany adwokat w Krakowie. W 1939 r. syndyk masy upadłościowej Pierwszej Małopolskiej Fabryki Naczyń Emaliowanych – późniejszej Fabryki O. Schindlera. Więzień Auschwitz i Mauthausen, po II wojnie światowej przebywał w Szwajcarii].
- Pani Róża Łubieńska** – działaczka społeczna, sprawująca opiekę na ubogimi i bezdomnymi [Róża Łubieńska (1897-1984), hrabianka, działaczka katolicka w Krakowie].
- P. Tad Gofron** – brat Mieczysława Gofrona, kolegi szkolnego Romana Reinfussa. Po powrocie z niemieckiej niewoli pracował w Warszawie jako technik budowlany.
- P. Muszkietowa** – żona Muszkiet, art. rzeźbiarza zatrudnionego przy Państwowych Zbiorach na Wawelu [Karol Muszkiet (1904-1993), art. rzeźbiarz].
- Wikcia** – prawdopodobnie znajoma pracownica domowa.
- P. Menclowa** – Klementyna Menclowa, właścicielka Piekarni Warszawskiej przy ulicy Rajskiej 22, która w czasie okupacji bezinteresownie udzielała pomocy szpitalom, domom opieki itp., córka jej, p. Elżbieta Kaczorowska była serdeczną przyjaciółką Zofii Cieślanki.

Roman Reinfuss

Dziennik czynności Zofii Cieślanki

Pakujemy od 28 VIII przez całe dni i noce, aż do 1 IX.

31 VIII – pakujemy z Lutką p. R. p. Z. i ja do 12-tej i siedzimy chwilę na parapecie okna wdychając świeże powietrze i podziwiając piękno spokojnej nocy polskiej na Wawelu.

1 września

godz. 5.30 obserwujemy z okien prac. M. E. razem z p. R. bombowce niemieckie, jadące z zachodu i okrążające Kraków w szyku bojowym. Mówimy żartem, oby to nie były samol. nieprzyj.! Może to już wojna?! Po kilku minutach alarm – lecimy z Lutką i p. R-ową, Resią do schronu, zostawiamy p. Z. w prac. II śpiącego, p. R. leci na swój pkt obserwacyjny na strych. W schronie wściekamy się, że ten próbny alarm tak długo trwa i to wtedy gdy mamy tyle roboty. Wychodzimy na dziedziniec, lecz p. Polk. nas wraca żeby się podporz. pod ich rozkaz, alarm nie był odwołany. Wracamy. Godz. 8.30 – odwołanie. Za jakieś 2 godz. znów alarm, lecimy do schronu, znów niby, że alarm próbny. Złość nasza nie ma granic. Po powrocie otrzymuje p. R od p. Z. telefon, że to jednak regularna wojna bez wypowiedzenia. Zburzony dom na Warszawskiej – klasztor SS. Miłosierdzia. Chciano zburzyć dworzec tow. Rzucone bomby w różnych częściach miasta. Straty małe. Dużo ludzi poranionych od odłamków. W czasie następnych kilku nalotów siedzę w M. E. i pakuję nie zważając na bombowce szalejące nad miastem i na dźwięki syren. W czasie jednego nalotu siedzę na drabinie na strychu i czytam „Tempo Dnia”⁷, oraz obserwuję lecące samoloty nieprzyj. Śpię razem z Lutką w prac. Warszawa śpi wraz z p. R-wą i Resią w schronie.

2 września

Wracają rano o 7. Tymczasem w nocy 2 naloty, jeden wieczór około 9-tej, drugi nad ranem o 5-tej. W pokoju p. R. do 6. Pakujemy dalej ale bezładnie między jednym atakiem a drugim. O godzinie 3-ej silny atak lotn. Przelot niski samol. nad Wawelem. Radiostacja na Dębnikach częściowo zniszczona, a także jedna z bomb trafia w schronisko brata Alberta, tak z trudem wystawione. St. przychodzi około 4.30 po mnie na Wawel, gdzie przedostaje się w czasie nalotu. Siedzimy jeszcze do 6-tej, bo boimy się wyjść, aby się nie narazić. Alarm odwołany o godz. 7. Idziemy na Flor. Na kolację, mamy niemiłą przygodę z p. Hojel. i jego ordynarnym znajomkiem (?). W czasie jedzenia kol. drugi alarm krótki i odwołanie. Wracam o 9-tej do domu.

[Dwu luźnych kartek nie można dopasować do reszty tekstu].

[Pierwsza] –

⁷ „Tempo Dnia” – popołudniówka aktualizująca informacje z porannego wydania „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, wychodziła od 1933 do 1939 r.

2 IX na 3 IX o 1-szej w nocy wpadł St. z tym, żebyśmy się pakowały i uciekały, że j. źle, bo Urząd Woj. się pakuje i ewakuuje. On też musi jechać. Ja powiedziałam, że się nie ruszę. 3 – Rozmowa p. Wyr. z p. Grz. w sprawie ucieczki z Kr. „Po co więc pani tę sprawę wentyluje”. Wyjazd Warszawianki Wład. Wandy Urszuli wraz z Wawelasami galarami.

[Druga] –

Umawiamy się na dzień następny.

[Koniec luźnych kartek; dalszy tekst pisany w notatniku].

3 września

Noc spokojna. Rano Hela o godz. 5.20 idzie ze szmatami do Dziuni, a o godz. 6-tej alarm i nalot, trwający b. długo. Samol. bombardują okolice Szlaku, W-wskiej, Każ. Wielk., Staszica, Łobzowskiej. Chcą zburzyć składy mund. na Szlaku – trafiają w dom narożny Szlak 38. Kilka osób zab., dom zburzony – pali się. Na Stasz. znajd. się karab. maszynowy chcą go zestrzelić trafiają w ulicę koło Karmel. Straszna wyrwa. Chcą zaatak. dworzec osob. i pocztę pol. znajd. się w pał. Wołodk. 7 bomb pada wokół pałacyku szyby wylatują, kilka framug, trochę kamieni do wnętrza. A Chrystus Błogosł. – rzeźba jak stała w oknie tak została nienaruszona, choć szyby i kamienie wokół niej latały. Około godz. 9.45 p. R. chce mnie wziąć przemocą na Wawel twierdząc, że tam bezpieczniej. Nie idę bo Hela ranna. Opatrywanie ran, gonienie i t.d. Dostaję rodzaj paraliżu nerwów w krzyżach na wys. nerek i schylać się nie mogę. Smaruje mnie na goło p. Jar. Spazmy p. Wyrobisz. Ona hyster. Chce jechać, wraca i t.d. W czasie opatrunków przybiega St. kt. widział Mamę Hele., poznanie St. z p. R. „W dziwnych okolicznościach poznaliśmy się” mówi R. Atak w czasie którego R. wraca na W., ja zostaję w domu. St. gdzieś jedzie ze swoim wujkiem. Dalsze ataki. Wpada tercjan, aby ktoś poszedł po pieniądze kt. wypłaca kurat. W międzyczasie telefonuję na W. i dowiaduję się, że rzeczy są już wyniesione do schronu i mają być pakowane te z Lubicz. Biegnę tam widzę 7 bomb wokół budynku. Kluczy nie ma bo ma je Lutka. Wędrówka na Podgórz. Lutki nie ma w Łagiewnikach. Powrót na Lubicz. W międzyczasie gonię za panem, kt. ma Heli wypłacić pieniądze. Mam duszę na ramieniu, boję się nalotu. Od czasu do czasu ktoś krzyczy nalot i wszyscy biegną do bram. Wieści przychodzą straszne, że Niemcy już są niedaleko Krak., że obchodzą się z ludźmi okrutnie, że katują i t.d. Po przyjsciu na Lubicz dyr. mnie prosi, abym poszła po klucze na W., gdyż ma je R. Heli dałam słowo, że nie pójdę na Wawel, jednak musiałam iść. Przez kratkę bramy Wawel, widzę R. pytam się o klucze, kt. on nie ma. Zostaję chwilę, aby wypocząć. R. twierdzi że zmuszony j. uciekać, bo i.... Telefon od Lutki, kt. za chwilę zjawia się sama na Wawelu. Chwilę zostajemy jeszcze, a potem wracamy do domu. Siedzę sama na ławce na „plantach” wawelsk. i patrzę na planetę Wenus i myślę, że teraz tak błędzimy jak ona. Cisza na W. j. ogromna i taka jakaś dziwna, silnie naładowana elektr., zdaje się, że coś musi się stać. W domu dowiaduję się, że był przez chwilę St. Noc spokojna tylko wozy jeżdżą i auta, przewożące uchodzące rodziny. P. Wyrobek ucieka z walizami.

4 września

Od rana gonię za pieniędzmi Heli. Byłam u Zygm. zdenerwowani strasznie. Nie panują nad sobą. Mają żal do mnie i St., że nie dostali pozwolenia na wyjazd z Kr. na ul. Wygody, gdzie ten p. mieszka, co ma dać pieniądze nie ma nikogo. Biegnę ze znajomym nauczycielem na Wolnicę, gdzie niby ten pan miał tam być. Czekam do 10. Wracam na Wygodę spotykam go, biegnę na W. zamknięte, za zezwoleniem wpuszczają mnie. Biegnę do schronu gdzie j. p. R-wa i Resia, R. uciekł. Pakuję ostatnie kawałki, spieszę się, dostaję gorączki ze zdenerwowania. Telefon od Heli. Niemcy zajmą o 2-giej Wawel, wracaj szybko. Jestem tym strasznie zgnębiona i rozdygotana, kończę szybko pakowanie. Wpadam do schr. żegnam p. R-wą i uciekam gna na dziwnymi mocami. Grzmoty armatnie huczą z daleka. Spotykam Izę po drodze, kt. najspokojniej idzie na Wawel do pracy. Mówię jej że Kr. będzie zajęty, ta wraca i chce wyrwać z Kr. Cisza, a właściwie martwota Wawelu przygniata mnie i zabija. Nie mogę jej znieść. Dzieje się ze mną coś strasznego. Uciekam od niej. W domu siedzę w schronie, a czasem w domu, aby znów za chwilę być w schronie. Zmienianie opatr. Wersje lansują okropne. Ale jedno pewne, że Kr. będzie zajęty. Przygnębienie na wszystkich twarzach. Jedyne nasz mężczyzna p. Grzech ucieka przed Niemcami, p. Czyżyk płacze za synem, lecz nie rozpacza. Hela chce iść do dokt, lecz nikogo nie ma, wszystko wyrwało. Noc okropna – ludzie uciekają wioząc dobytek – całe tabuny. Jedni pieszo z walizkami, inni na rowerach, inni autami, na wozach. Krowy ryczą. Wózki dziecinne załadowane. Nalotów nie ma. Wędrowni ludów. Jedni idą na półn. inni na połd., wzgl. wsch. Kr. Wracają aby iść w odwrotnym kier., aż w końcu wracają do domu. Cały dzień i noc to trwa. Jestem rozbita po przyjeździe z W. ryczałam, bo już nie mogłam, wzięło mnie to, że nie widziałam się z R., i że zostawił pieniądze.

5 września

Siedzenie od wczesnego rana w schronie, potem wśród strażów na Wawel, bo zapomniałam zapakować klisze i filmy. P. R-wa wyjechała. Spokój i ta martwota jeszcze gorsza, bo tylko kilka osób zostało. Pakuję graty z R. te co najważniejsze i uciekam z W., bo nie mogłam usiedzieć, gdyż ziemia pali mi się pod nogami. Wracam do domu, a tu w schronie czeka mnie Lutka z Izą i wyśmiewają się ze mnie, że Kraków będzie zajęty. Opowiadanie o kupnie butów dla Izy z policjantem, o ucieczce w karawanie. O tym że jedynymi spotykanymi obecnie pojazdami w mieście są wózki dziecinne i t. d.

Dnia 7 IX 1939 r.

Lutka rano wpadła do mnie w chwili, gdy wybierałam się na Wawel. Idziemy razem do pracy, ale nie wiemy właściwie do jakiej. Po drodze spotykamy mnóstwo wojska zmotoryzowanego niemieckiego i serce nam się ściska na ten widok. Cieszymy się, że kiedyś to wszystko zostanie u nas, a oni będą zwiewać na nogach.

Oby Bóg dał, abyśmy tego doczekały. Na Wawelu cisza przerywana od czasu do czasu warkotem motorów i tupotem ciężkich żołnierskich butów. W Muzeum siadamy na stołkach w pracowni i zastanawiamy się co teraz i dalej będzie. Wreszcie

zabieramy się do porządkowania naszej „spelunki” i zaczynamy to od pokoju „Lutki” względnie prywatnych apartamentów p. R. Szukamy broni, czy jej przypadkiem nie ma p. R. Przy tej okazji układamy rozrzucone papiery, świstki, fotografie i t. d. Objamy szarym papierem co się da. Ja trochę szaleję z tym sprzątaniami i objaniem, za co słyszę wciąż jakieś gderanie Lutki, która mocno zbita pali papierosy i myśli (rzadkość!!). W czasie sprzątania wpadają nam albumy, które z ciekawością oglądamy, przy czym stwierdzamy z oburzeniem, że nie ma tam naszych podobizn. O 13.30 wyruszamy do domu.

Dnia 8 IX

Na wzgórzu wawelskim spotykamy p. Borgiela, który przeprowadza mnie przez bramę, gdzie wartują żołnierze, na Wawel. Tu dostaję od niego przepustkę dla siebie i Lutki. Od dziś swobodne poruszanie się na samym Wawelu i komunikowanie się z miastem jest tylko możliwe, wtedy, gdy ma się „Passierschein”. Straszne! Po drodze dowiaduję się od p. Borgiela, że w schronie żołnierze w poszukiwaniu broni rozbili nam paki, któreśmy z takim trudem spakowali. Ogarnął mnie paniczny strach, co ja też tam znajdę. Zabieram Resię idziemy do schronu, przez cały czas drżę na myśl, że wszystko będzie zniszczone. Resię chwycił jakiś dziwny strach, nie chce iść do schronu. Wciąż powtarza, że się boi tam iść. Wreszcie osiągamy nasz cel. Kilka pak odbitych, zawartość wyrzucona. Wkładamy z powrotem. Chodzę po wszystkich piwnicach i zbieram porzucane eksponaty, które służyły naszym okupantom za podkłady pod głowę, nakrycia i t.d. Chustki czepcowe, wyciągnięte z kopert służyły za okrycia poduszek, zamiast prześcieradeł i ręczników. Jakiś kawałek płótna długi (Rusini 1230, nie pamiętam dokładnie numeru) rozerwany na trzy części znajdują w trzech różnych kątach schronu. Kopycie śląskie stoją pod łóżkiem – na pewno służyły komuś za pantofle. Znoszę to wszystko do skrzyń i serce mi omal nie pęka ze smutku. Kosz prywatny p. R. zupełnie rozrzucony. Brak w nim zapakowanych ubrań i płaszcz zimowego. Myślę sobie, że p. R. ma specjalne szczęście jeśli chodzi o płaszcz zimowy. Notatki i zeszyty walają się po kątach schronu. Zbieram je pilnie i pakuję z powrotem do kosza. Złość moja nie ma granic. – W drodze powrotnej spotykam p. Bohusza, który z daleka śmieje się do mnie, na co ja również uśmiecham się, co bierze do siebie jakiś pułkownik niemiecki i pokazuje mi swoje zęby w uśmiechu. Myślałam, że nie wytrzymam i dam mu w „buzię” (mówiąc delikatnie). A to beczelny! Jak śmie! Ale cóż się dziwić, nasze Krakowianki – z Kazimierza upoważniły ich do tego. Łążą z nimi po mieście, kawiarniach i t.d. Mają o nas wyobrażenie, coś straszego! Powiadają, żeśmy ich z radością witali i t.d. Mój Boże! Żeby oni natknęli się na prawdziwą Krakowiankę, ta pokazałaby im dumną minę i taką twarz, jak ja temu wojskowemu, któremu potem głupio zrobiło się. Patrzyli żołnierze. Od p. Bohusza dowiaduję się, że Lutka stoi pod bramą wejściową i czeka na przepustkę, którą ja mam dla niej. Biegnę ku bramie, ale ona już odeszła. Ma przyjść po południu i przy pomocy kilku ludzi z powrotem wynieść ze schronu paki i przetransportować do Muzeum. Pokręciwszy się jeszcze trochę po pracowniach zbieram swe manatki i idę do domu na obiad. Tu zastaję obie t. j. Lutkę i Iżę, które czekają na mnie, a właściwie na przepustkę.

(Tego samego dnia popołudniu.)

Spotykam na wstępie p. Ziobrę, którego odkomenderowano do noszenia pak, ale reszty nie ma, więc umawiamy się na dzień następny na godz. 9. O tej porze ma on zmobilizować kilku ludzi do pomocy. W Muzeum Lutka pisze już swój dzienniczek, co i ja za Jej przykładem robię. Wychodzimy przed 6-tą, aby zdążyć przed zamknięciem bram t. j. o 6.30. Niemcy tych, których spotkają po 7-mej zbierają po ulicach i zawożą gdzieś, gdzie każą im pracować ciężko. Wczoraj takich spóźnialskich użyli do uprzątnięcia nawozu końskiego z Wawelu. Wesoło!!

9 IX

Dzień dzisiejszy rozpoczęłam od pójścia na pogrzeb matki Zygmunta B., która na widok wkraczających wojsk niemieckich do Krakowa padła trupem na miejscu. Na ulicach warkot motorów straszny. Jeżdżą jak szatany, wciąż jedni i ci sami, objeżdżają Kraków w koło. Można oszaleć.

W Muzeum już zastałam Lutkę. Idziemy wszyscy do schronu, skąd wyciągamy paki na dziedziniec. Mamy już przenosić je do Muzeum, gdy nagle zaczynają za-jeżdżać auta z dygnitarzami, składającymi hołd naszemu Marszałkowi. Siedzimy na pakach na dziedzińcu dokąd dochodzą nas głosy komendy, tupot nóg, a w końcu coś co przebiło mi serce jak sztyletem. Muzyka zagrała hymn i jakiś marsz żołnierski niemiecki. Uczucie strasznego przygnębienia ogarnęło mnie. Spoglądałam przed siebie, a tu wszędzie porozwieszana bielizna żołnierzy, którzy uprali ją i powiesili na dziedzińcu do słońca. Sami opalają się. Nad głowami z hukiem przejeżdżają raz po raz samoloty – bombowce, które okrążają Wawel zniżając swój lot. Tak Niemcy składają hołd prochom Marszałka. Parada się kończy jedziemy z pakami, zauważyłam przed kryptą kilka wieńców, z boku przed katedrą stoi jeszcze aparat do filmowania. Przewóz skończony, paki umieszczone, na dziś dość idziemy do domu.

10 IX – niedziela

Wczoraj w drodze do domu postanowiłam iść na Lubicz i zobaczyć co się tam dzieje. Lutka nie chciała mnie samej puścić, a nie mogła iść ze mną, bo nie miała czasu. Mimo wszystko poszłam sama i o zgrozo! Cóż za widok makabryczny. Skrzynie rozbite, koniki poprzewracane, każdy rzucony gdzie indziej, bez upręży, ceramika częściowo stłuczona, pająki zerwane. Lalki rzucone bezładnie i obdarte z ubrania. Jednym słowem obraz nędzy i rozpacz, co się z tego pięknego Muzeum stało. W kancelarii mieszka obecnie jakaś kobieta, na pewno szpieg lub coś podobnego. Mówi dobrą polszczyzną jednak z lekkim akcentem czeskim, a w każdym razie obcym. Urzęduje tam. Oto na co przydał się pokój gościnny na Lubicz. Oprócz niej spotykam tam jeszcze żołnierza niemieckiego, który pilnuje tej „damy”, a gdy mnie zobaczył prędko poszedł po karabin i wszędzie tak uzbrojony łąził z mną. Pozbierałam nieco rozrzuconych rzeczy, podlałam kwiaty. Niemiec uspokajał mnie, że dokąd oni tam są, to ani jedna rzecz nie zginie. Wy tłumaczyć jednak nie umiał dlaczego tak zniszczono te paki i przedmioty. Odeszłam stamtąd dosłownie zbita. Nie mogłam

prawie kroku zrobić. Znów odezwała się u mnie ta sama historia z tym drętwieniem w krzyżach. Prześladowuje mnie obraz zniszczenia na Lubicz.

Dziś przyszedłam na Wawel, aby dowiedzieć się co robi Resia i jak się czuje. Miała przyjść również Lutka, obie chciałyśmy iść do p. Sewerynowej. Lutka nie przychodzi, widocznie coś ją zatrzymało w domu. Układałam w biurku p. Romana, wypijam herbatę, na którą zaprosiła mnie Resia, zjadamy upieczony przez Nią doskonały placek ze śliwkami, wreszcie o 1-szej idę do domu. Do katedry wolno było ludziom przyjść w czasie nabożeństwa, potem tylko wstęp za przepustkami. Jest to pierwsza niedziela panowania niemieckiego w Krakowie. Zastanawiam się ile jeszcze takich niedziel będzie. Oby jak najmniej!

11 IX

Dziś zabrałyśmy się z Lutką do pisanek t. zn. wszystkie pisanki błądzące po pracowniach włożyłyśmy do szafy w ciemni. Było tam jeszcze trochę miejsca, więc trzeba go było wyzyskać. Iza wpadła po chałat; oni w Zbiorach wszystkie pochowane obrazy, wyroby mosiężne, ceramikę i t. d. wieszają na ścianach na dawne miejsce, względnie wkładają do oszklonych gablot. W ten sposób łatwiej można sprawdzić, jeżeli coś zginie, a wtedy krzyczeń się będzie, że to rabunek. Dużo te nasze „Niemiaszki” będą sobie z tego robić. Zabiorą i koniec. Herbatę Lutka ugotowała na prymusie, który rozpałała bez spirytusu. Nakopciła strasznie. Gdy już herbata była nalana, okazało się że jest trochę spirytusu na piecu w kuchni. Lutka skłęła mnie o to, bo to ja tak gadałam, że nie ma ani kropli denaturatu. Jednak wszystko mucha, bo herbata była. Idziemy teraz po Izę na Zamek, może już też idzie do domu.

12 IX

Od rana miałam gonitwę, Heli bowiem spuchło nad kolanem, zrobiła się Jej jakaś gula. Boli Ją to, nie może dobrze chodzić, a przede wszystkim źle się czuje dlatego, że nie była u lekarza. Dalej więc na klinikę, bo prywatnie żadnego lekarza złapać nie można. Przyjeżdżamy do szpitala i już z daleka słyszymy straszne, po-prostu nieludzkie krzyki. Jak się okazuje zeszywają „na żywo” jakieś kobiecie głęboką ranę w pachwinie. Kobieta ta starsza została przejechana przez motor. Jak ona musiała cierpieć i to przez tych Niemców którzy jeżdżą wprost niewiarygodnie szybko. Naturalnie te krzyki tej kobiety zdenerwowały w sposób straszny resztę osób, znajdujących się w poczekalni i czekających na opatrunek. Hela chciała uciekać, mdleć i t.d. Siłą ją przytrzymałam. Wreszcie koniec. Kobietę wzięli i zanieśli do szpitala. Heli doktor oglądął nogę i powiedział, że wszystko jest dobrze tylko na razie nie wolno chodzić i należy dawać ciepłe okłady. Wychodzimy stamtąd, po prostu uciekamy, ale nas goni krzyk kobiety i dzwoni nam w uszach rozpaczliwe jej wołanie: „Boli, boli, boli”. Chirurdzy to naprawdę ludzie z kawałkiem mięsa zamiast serca, ale teraz to już i tego nie mają. Żeby „na żywo” tak szyc kobietę, to okropne. Ale teraz z niczym się nikt nie patyczkuje, bo wojna, a w szpitalu robią darmo. A co za darmo, to wiadomo – dużo chorego kosztuje. Wracamy dorożką do domu, gdzie kładę Helę na kanapie i daję poduszkę elektryczną. Następnie wyruszam na Wawel. Jestem punktualnie

o 12-tej. Lutki już nie ma. Widocznie myślała, że już nie przyjdę, więc zrobiła swoje i poszła. Nie dziwię się Jej, że dłużej nie czekała. Pustka wieje z każdego kąta, Resi nie ma, bo u mnie w domu Maryni pomaga, Kowalski jest u p. Sewerynowej. Jest się zupełnie samemu i nie można się jeszcze zżyć z tą beznadziejną ciszą, jaka wszędzie panuje, u nas w Muzeum, na podwórzu za oknami, skąd zawsze słychać było nawoływanie się dzieci, albo ich wesołe zabawy, jak: „Bawmy się w sklep, bałwana, i t. d.”. Wszelki ruch jakby zamarł, tak też jest i w nas samych. Wewnątrz siebie czuję taką samą pustkę, jak ta, która jest wokół mnie. Nie wiem czy potrafię coś odczuwać, Ani smutne, ani wesołe t. zn. dobre wiadomości nic nie wzbudzają we mnie. Uśmiech czy łzy mam jedynie na ustach względnie oczach ale wewnątrz mnie przerażająca martwota, której nic wzruszyć nie zdoła. Co mnie wyrwie z tego stanu, a może w nim pozostanę? Tego ostatniego nie chcę, bronię się przed takim faktem, na razie bezskutecznie. Uporządkowałam szufladę z fotografiami i rękopisami... Wybija 1.30 idę do domu.

13 IX

Lutka tak jak przewidywałam była wczoraj w Muzeum i wyszła przed 12-tą. Poszła do mnie do domu, co się stało, że nie byłam na Wawelu. Dowiedziałam się o tym po przyjsciu do domu. Dziś p. Bohusz dał mi jeszcze jedną laskę znaną w schronie. Ks. Figlewicz opowiedział mi, że wczoraj nadawali do radia transmisję z krypty Marszałka i że to auto, które widziałam to właśnie było tu w tym celu umieszczone. Opowiadali o tym, że gdyby żył Marszałek nie doszłoby do wojny, że nasz obecny Marszałek zdradził, wciągając nas podstępnie w wojnę i t.d. Biedny nasz Marszałek spoczywający pod wieżą Srebrnych Dzwonów. Mają rację Niemiaszki, mówiąc iż do tego by nie doszło. Rzeczywiście!!! Nie doszli-byście nigdy do Krakowa, bo dawno byście mieli wymłóconą skórę. Kraków znalazłbyście tylko z obrazków lub kina. A teraz łajdaki rozbijają się po naszym mieście i panoszą się. Mocne słowo ciśnie się na usta. Czekam tylko na chwilę, gdy oni stąd zwiewać będą. Boże daj, aby to było jak najprędzej. Nie mogę patrzeć na te karaluchy – szwaby – prusaki, które rozlały się po Krakowie plugawiąc go swoim wyglądem i gwarą. Wielu jednak mieszkańców Krakowa zapomniało swej mowy i szwargoczą po niemiecku. Aż wstyd! Sprzątamy drugą pracownię, zalewamy parafiną papier w skrzyni, do której jutro wpakujemy całą Białoruś. Przygotowania skończone. Lutka malowała dziś parafiną, ja zaś trzymałam dynarek. Jak zwykle i dziś nie obeszło się bez dogadywań i ostrej wymiany słów, a wszystko jak zawsze skończyło się pomyślnie dla dobra instytucji. W czasie „rekreacji” obgadywałyśmy naszych szefów solidnie. Mam wrażenie, że obaj musieli mieć chrosty na językach, tylko nie po tej samej stronie. Jeden z nich wyszedł zwycięsko t. zn. prawie same dobre rzeczy z konieczności trzeba było mówić. Przypominałyśmy sobie różne powiedzonka: „Bo to tak nie może dalej być. Musimy uregulować jakoś godziny pracy. Nie trzeba przychodzić późno, to się nie będzie i roboty przeciągać do 4-tej” grzmiał głos ze szczytu drabiny w dużej sali Muzeum. Wzięłam sobie to do serca i to mocno, dlatego idę do domu, bo godziny urzędowe minęły.

14 IX

Dziś miałam w nocy bardzo niemiły sen. Śniło mi się, że wracając z Instytutu Geogr.⁸ z dwoma kolegami jeden z nich pod kościołem św. Idziego spytał mi się: „Czy Pani wie, pana R. pogryzł pies i zachodzi obawa czy nie był wściekły. Proszę sobie wyobrazić, iż to był jego własny pies”. Zdawałam sobie sprawę, że to była niedziela i że do Muzeum nie wybierałam się zupełnie. Kiedy to usłyszałam pożegnałam się z kolegami i pobiegłam na Wawel. Tu zastałam już Lutkę mocno strapioną i p. R-wą, siedzące w pracowni. Kiedy przyszłam p. R-wa poprosiła mnie, abym przyprowadziła lekarza, który nazywa się Rose i mieszka gdzieś na Grodzkiej. Widzę siebie idącą od placu św. Magdaleny w stronę rynku, szukającą wywieszki z nazwiskiem tego lekarza. Wreszcie znalazłam go, gdzieś w okolicy Poselskiej. Wracam sama na Wawel, lekarz ma przyjść za chwilę i zrobić zastrzyk. Czuję, że idę mocno w górę jakimś ciemnym lochem, po lekko wilgotnej ziemi. Loch kończy się u szczytu drzwiami, które niby prowadzą do Muzeum. Nagle ni stąd ni zowąd znalazłam się w sali ks. Świstka i zawieszam obrazy na szkłe. Siedzę wysoko na jakimś kredensie, gdzie wsadził mnie p. R. Zaczęłam się o to gniewać, bo ma pogryzioną rękę, a mnie podnosi, kiedy sama mogę też wleźć na drabinę i z niej zawieszać obrazy. Po chwili znów jestem na dole i idę do drugiej sali ks. Świstka. Iza zostaje w poprzedniej izbie, a Lutka jest o jedną salę wcześniej. P. R. idzie za mną i kiedy coś zdejmuję z okna odbiera mi to i szeptem: „Zofia pocałuj mnie, pocałuj! Zrób to proszę Cię, pocałuj. Już tak dawno tego nie zrobiłaś. Ja jestem taki chory, pocałuj!”. Zdaje mi się, że uległam namowom, ale kiedy zbudziłam się jeszcze słyszałam ten szept: „Zofia pocałuj mnie, pocałuj”. Jestem bardzo niespokojna, czy komuś coś się nie stało. W żaden sposób niczego nie można się dowiedzieć i jeszcze przez długi czas nie będzie nic wiadomem. Sytuacja beznadziejna. Śnił mi się również doktor, że załatwił jakiś interes w Starostwie. Dobrze wyglądał. Staszek też mi się śnił, że był u nas w mieszkaniu na Garbarskiej, a mamusia moja była w drugim pokoju.

Na Wawel przyszłam wcześniej niż Lutka. Tu zastaję już Kowalskiego, który nie może się dostać do Muzeum bo nie ma klucza, a Resia wyszła. Kowalski zmordowany strasznie, bo był z Hanką S. w Przytkowicach w obie strony piechotą. Mówi, że mu nogi popuchły i odpadają. Nie dziwię się. Stary chłop i mam wrażenie, że ma blafuss, więc trudno mu chodzić. Z Lutką pakujemy dziś do paki nr 39 przygotowanej wczoraj całą Białoruś. Oprócz tego chowamy aparaty muzealne, a także zajmujemy się katalogiem kartkowym, który wyniesiony był do piwnicy, teraz wraca z powrotem do pracowni. Resia w sklepie dostała marki niemieckie i nie może się w nich zorientować. Przyszła do mnie, abym przeliczyła czy dobrze jej wydali. Rychno w czas, ale na szczęście wszystko było dobrze.

15 IX

Rano byłam z Jasią na nabożeństwie szkolnym w Instytucie Marii⁹, dokąd Jasia uczęszcza do 3-ciej klasy. Dziś miały się zebrać wszystkie wychowanki klasztoru,

⁸ Instytut Geografii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

⁹ Instytut Marii – szkoła prowadzona przez Zgromadzenie Sióstr Bożej Miłości w Krakowie przy ul. Pędzichów 6.

pragnące dalej w tym zakładzie naukę. P. Dubisowa nie miała czasu pójść z córką, gdyż sprowadza sobie dziś węgle. Poszłam zatem ja. Dziewczynek zebrało się około 40 ze wszystkich klas razem t. zn. szkoły powszechnej, gimnazjum i liceum. Siostry jednak tym się nie przejmują, twierdząc, że w ciągu 2 tygodni reszta uczennic się zbierze. Myślę, że rzeczywiście tak będzie, ale do pierwszej klasy, to na pewno nie wiele się zgłosi. Dziś była jedna przedstawicielka. Na podwórzu gdzie zbierają się uczennice słyhać tylko rozmowy o wojnie, bombardowaniu. Każdy opowiada swoje troski, przeżycia. W gmachu Inst. Marii stało wojsko i dlatego budynek ten w czasie nalotów nieprzyjacielskich w dniu 3 września był silnie bombardowany. Jednak tak zakonnice, wojsko, jak i budynek, nic na tym nie ucierpiały. Bomby były mocno niecelne, analogicznie do innych, rzucanych w różnych częściach miasta. Mszy św. nie ma, bo ksiądz profesor uciekł, zapowiada zakonnica jedynie krótką modlitwę ze śpiewami w kaplicy. W czasie tego nabożeństwa nachodzą mnie wspomnienia, od których nie mogę się odpędzić. Przecież to szkoła, w której uczyłam się stawiać litery jeszcze rysikiem na tabliczce. Tu przebywałam 5 lat, gdyż jeden rok chodziłam do t. zw. freblówki. Świadcstwo jedno mam niemieckie. Tak mi się zdaje, że dopiero wczoraj, jak tu przystępowałam do pierwszej Komunii Św. widzę Mamę i Ciotkę Marię, czekające na mnie z boku, aby iść ze mną do fotografa. Pamiętam byłam wtedy strasznie przeziębiona i echo mojego kaszlu rozchodziło się po całym budynku. Ciotka zrobiła na tę uroczystość świetne kremówki. Jeszcze czuję dziś ich smak. Boże! jak to dawno, powtarzam to sobie w głębi duszy. A jednak wciąż mi się zdaje, że jestem dalej malutka i że otacza mnie miłość moich Rodziców i krewnych, którzy tak tę małą kochali. A przecież i ich nie ma i ja mam już tyle lat, że ta Jasia, z którą przyszłam zupełnie dobrze mogłaby być moją córką. Nachodzą mnie i dalsze wspomnienia. Przypominam sobie pierwszy dzień po wakacjach, kiedy w klasie spotykałyśmy się i opowiadałyśmy sobie jedna przez drugą o minionych dniach wy-wczasów. Dziś nie słyhać było wybuchów śmiechu tak właściwym nam gimnazjalistkom „Ceśkom”. Dziś obserwowane przeze mnie dziewczynki mówiły poważnie o wojnie, o tym, że nie wiedzą co się dzieje z ich ojcami, braćmi, krewnymi i t.d. Żal mi dzisiejszej młodzieży, którą wojna obdarła z tych wielkich radości i wesela, a także złudzeń. A jak przyjemnie mieć różowe szkiełka na oczach!

Żal mi minionych czasów gimnazjalnych i uniwersyteckich. Wie się jak było, a jutro niepewne. Człowiek wciąż czeka, że już, już coś się stanie. Co nie wiem i boi się, aby nie było to coś bolesnego. Żyję jeszcze trochę złudzeniami, choć z mojego wielkiego optymizmu (tak wyśmiewanego przez Lutkę) doprawdy niewiele zostało. Przeraza mnie to. Zdaje mi się, że jednak wszystko przetrzymamy i że jeszcze dużo radości nas czeka. Ale tu zaczyna się i kończy mój optymizm. Więcej wolę nie myśleć.

Na Wawel idę trochę nieprzytomnie. Całą drogę grzebię się we wspomnieniach dalszych i bliższych. Jest mi z tym dobrze, a równocześnie źle, boleśnie. Na Wawelu zamknięte. Lutki nie widać. Piszę ten pamiętnik gdy przychodzi Kowalski i wytrychem otwiera mi drzwi wejściowe. Niedługo zjawia się i Lutka, więc zjadamy z miejscia śniadanie i przypominamy sobie znów zabawy: „geografów” i „socjologów”. Śmiejemy się, ale tak trochę przez łzy, które mamy ukryte głęboko. Jest nam dobrze

razem, bo jakoś nam raźniej i weselej tak we dwie. Pakujemy Rosję, uzupełniając numery inwentarza. Jutro zaczniemy pakować zinwentaryzowane łyżniki i resztę gratów z drugiej pracowni. Gdy piszę, to mam takie wrażenie, że za chwilę wpadnie któryś z szefów i zacznie coś gadać. Na Wawel idę z tym przeświadczeniem, że Resia otwierając drzwi powie mi: „Wie panienska co, że Pan wrócił”. Boję się tego strasznie, bo gdyby p. Roman teraz wrócił byłby skończonym wariatem, a po wtóre nie wytrzymał by w obecnych warunkach w Krakowie i w Muzeum. Myśl ta mnie wciąż prześladowuje i to stale o każdej porze. Kiedy wracam do domu mam uczucie, że do wiem się, iż p. R. wrócił. Nie lubię u siebie takich natarczywych myśli. Przekonałam się bowiem, że zwykle sprawdzają mi się. Już nie raz się o tym przekonałam. Tak samo było i z pewną historią p. Romanie!!! Raz coś sobie w myśli powiedziałam ot tak sobie i sprawdziło się na całej rozciągłości i w takim nasileniu jakiego nigdy nie przypuszczałam. Może kiedyś powiem coś Panu na ten temat. Dziś jeszcze nie jestem pewna, czy się na to zdecyduję. Ale może?! U mnie nigdy nic nie wiadomo!!

16 IX

W nocy lał deszcz. Wszyscy modlimy się, aby wciąż padało i to jak z cebrzyka. „Zwykle jesienią tak bywa, że ...” u nas zazwyczaj leją deszcze. W tym roku odmiana – pogoda cudowna, po prostu dobry ciąg dalszy lata słonecznego. Jesień piękna, jak rzadko. Niemcy zobaczyli naszą cudną złotą, polską jesień. O ironio! Wtedy kiedy trzeba tego deszczu, to go nie ma. Wszyscy spoglądamy w niebo i kiedy zauważymy, że ono chmurą zasnuwa się serca nam skaczą z radości. Witamy się okrzykiem będzie deszcz, będzie deszcz!! Lecz po chwili zazwyczaj w jakiś dziwny sposób chmury rozplływają się i naszym oczom ukazuje się prześliczny lazur z wesoło uśmiechniętym słońcem, którego jak nigdy dotąd nie bywało, witamy ze smutkiem i z wielce przeciągłą miną. Dzisiejszy deszcz ucieszył wszystkich. Już myśleliśmy, że niebiosa będą dłużej łaskawe i spuszczą obfite opady, które rozmiękczą nasze drogi i zmotoryzowane Niemcy również poznają sławne „polskie drogi”. Jestem pewna, że połowa z ich sprzętu wojennego została by uwięziona i ugrzęzłaby w polskim błocie. Same Niemiaszki musieli by wrywać na piechotkę, przez co staliby się doskonałym łupem dla wojsk polskich. Lecz radość nasza jest krótkotrwała. Kiedy czekałam na Lutkę pod hotelem Polonia o godz. 9-tej deszcz zaczynał słabnąć, aż w końcu 9.30 przestał padać zupełnie. Lutka wreszcie przyszła około godz. 9.40. Strasznie się już denerwowałam, bo stojąc tak niedaleko dworca musiałam oglądać przejeżdżające wojska to autami, to na motorach lub rowerach, przyjeżdżających koleją kolejarzy niemieckich, patrzyłam na polskich jeńców, których gdzieś Niemcy przewozili. Huk okropny. Głowa mi pękała. Gdy Lutka wreszcie przyszła poszliśmy do dozorczyńni tej kamienicy, gdzie mieści się (a właściwie mieściło się) Muzeum Ziemi Krak. Tu dowiadujemy się, że jakaś kobieta zabrała niektóre muzealne rzeczy, a przede wszystkim pościel kupioną niedawno przez dyrektora. Dozorczyńni nie kwestionowała jej tego, gdy to ona wynosiła, bo nie wiedziała czyje to jest, a ta kobieta twierdziła, że to jej własność. Do środka do Muzeum dostać się nie można. Lalki do szopki, z wesela krakowskiego są zabrane, dużo rzeczy powyrzucanych, zniszczonych. Do-

zorczyńni uratowała jeszcze jeden chodnik kokosowy, który Niemcy chcieli spalić albo zakopać. Od niej dowiadujemy się, że ta kobieta mieszka na ul. Lubicz 3, bo tam się przeprowadziła gdy ją z pałacu Wołodkowiczów wyrzucono. Do pałacu przypro-wadzili ją sobie żołnierze, gdzie spędziła ona kilka dni i nocy. Przegnała ją dopiero stamtąd dozorczyńni przy pomocy straży obywatelskiej. Szukamy wszędzie kogoś ze straży, aby i tym razem skorzystać z jego usług, aby wytropić złodziejkę. Wreszcie Lutka swym sokolim okiem wypatrzyła jednego, który jak się potem okazało jest artystą-malarzem, który zna nasze Muzeum. Dozorczyńni kierująca się dziwnym węchem psa policyjnego dopytała się o miejsce zamieszkania tej „damy”. Znajdujemy tam oprócz pościeli eksponaty muzealne jak n. p. spódnicę krak., fartuszki białe, chustki, talerze, saganek, szklanki, tackę i t. d. Zabieramy to wszystko i zanosimy do dozorczyńni na Lubicz 4, skąd ma to Kowalski przenieść na Wawel. Kowalski oburzony tą kradzieżą chce koniecznie złapać tę złodziejkę, radzimy mu czekać na nią, ale sami nie mamy ochoty tego czynić, gdyż niewiadome ile nocy trzeba by przespać pod gołym niebem, zanimby się na nią doczekało. Kowalskiemu nie przypada do gustu to, że po zabranii rzeczy udajemy się do lokalu „Obwodu IV straży obywatelskiej” przy pl. Kleparskim I. Tu jakiś „pan inżynier” z nosem jak gruby, duży ogórek spisuje z nami protokół, zaś „pan prezes” klepie po ramieniu „pana malarza”, że tak dzielnie się spisał, bo z narażeniem życia walczył z szakalami, hyjenami i t. d. innymi dzikimi zwierzętami t. j. ludźmi, którzy grabią mienie ludzkie. Nasz malarz stał się sławny, gdyż jak twierdził: „Od rana tropię i łapię złodzieja, który ograbił Muzeum”. Może mu dadzą order za dzielność, a „panu prezesowi” za dobrych podwładnych jakąś kolorową wstęgę. Zaś „pan inżynier” za genialny protokół zostanie jakimś wielkim dygnitarzem protokolarnym. Przyszędł jeszcze „pan radca”. „Pan prezes” wyszedł, bo przyszedł jego zastępca. On sam był tak znużony, że czekał na chwilę, zwolnienia z utęsknieniem. Ryczałyśmy z tych wszystkich prezesów, radców, inżynierów i t.d. którzy nam zaimponowali sprawnością i szybkością załatwiania sprawy. Zapisali nasz adresy i kazali nam się zgłosić o 4-tej po przepustkę, upoważniającą do wstępu na Lubicz. W drodze na Wawel wstępujemy do p. Sewerynowej, która martwi się o pozostałe obrazy doktora¹⁰ na Lubicz. Pytamy o Kowalskiego. Konkretnego nie dowiadujemy się nic. Na Wawelu po śniadaniu kończymy sprzątać drugą pracownię, oraz gazownię i w ogóle bawimy się w detektywów, którzy szukają zaginionego skarbu. Nie wątpimy, że go znajdziemy.

(Po południu tego samego dnia)

Lutka poszła do mnie na obiad. Po posiłku ona babrała coś niecoś w swym sztambuchu, ja zaś sprzątałam. Nabieram ją tym pamiętnikiem. Raz powiedziała, że jej babranie będzie można czytać, ale niektóre miejsca pozalepia. Śmieję się, że ten pamiętnik będzie wyglądać jak gazeta, która uległa częściowej konfiskacie. W każdym razie twierdę, że coś mocno nieprzyzwoitego pisze skoro nie będzie można tego w całości przeczytać. Daję Jej za przykład siebie, ale bezskutecznie. Dalej brnie w swych błędach i pisze dalej tak, nie dla każdego oka ludzkiego.

¹⁰ Chodzi o Tadeusza Seweryna, dyrektora Muzeum.

W komendzie obwodu wita nas „pan mecenas” Roland Goryczko (dr praw, adwokat), który rozkładając ręce i deklamując lekko przez nos na sposób aktorski oświadcza nam coś trzykrotnie, że pomimo usilnych starań miasto bawi się w biurokrację i nie wydało przepustki, więc o ile możemy, żebyśmy się zgłosiły jutro o tej samej porze. Idę na zakupy do miasta. Towarzyszy mi Lutka, która jest „w poważnym stanie” i coś przeżywa wewnątrz. Gadam trzy po trzy i to tak głupio, że nawet Lutka musi się śmiać. Nie mogę przypomnieć sobie nawet jednej mądrej myśli. Opętał mnie wisielczy humor. Wstępujemy do apteki po gazę sterylizowaną dla Heli, a Lutka mówi dość głośno, że musi iść ze mną, aby mnie powstrzymać od różnych głupstw. Wywołuje to śmiech wśród osób znajdujących się w sklepie. Ale aż miło popatrzeć na uśmiechnięte twarze, choćby to było kosztem moim. Tak śmiechu jest teraz mało. W dalszym ciągu gadam przeraźliwe głupstwa. Przypomniał mi się żyd, którego rano spotkałyśmy w jednej drogerii krak. (w pogoni za „Hanzaplastem” i „Leukoplastem”) gdzie ważyliśmy się. Otóż on też chciał się zważyć, ponieważ personel nie miał czasu, więc ja to czynię. Żyd mówi, że był gdzieś na tułaczce 10 dni i że na pewno zgubił 5 kg. Okazało się jednak, iż „zgubił” tylko 3 kg. Ja na wojnie „zgubiłam” 1,5 kg (ważę obecnie 51 kg), a Lutka waży jak gorsze ciele, bo tylko 46 kg. Po załatwieniu sprawunków siadamy chwilę na plantach, gdzie obserwujemy bawiące się dzieci. Uśmiealiśmy się przy tym porządnie. Godzina 6-ta dochodzi, trzeba uciekać do domu, aby zdążyć przed 6.30.

17 IX – niedziela

Jak zwykle byłam o 10-tej w kościele, a potem przyszłam na Wawel, gdzie umówiłam się z Lutką o 11. Mamy iść do Straży Obywatelskiej w sprawie naszego Muzeum na Lubicz. Czekam dość długo. Do żadnej roboty nie chce mi się zabierać. Wreszcie Lutka przychodzi spocona, zdyszana, tak się biedactwo spieszyło. Piszemy sobie same zaświadczenia, że jesteśmy pracowniczkami Muzeum, podpisujemy (a właściwie fałszujemy zresztą b. nieudolnie podpis dyrektora). Strasznie źle, że nigdy ani mnie, ani Lutce nie wystawił dyr. czegoś podobnego. Teraz jest nam to czasem konieczne potrzebne i stoimy bezradne. Po wypiciu herbaty wyruszamy z pompą do Straży, gdzie „pan mecenas”omalże nas nie przycisnął do swej bohaterkiej Rolandowej piersi dla uspokojenia i ukojenia naszego smutku, bo z przepustką nic nie załatwił. „Robię co mogę (mówi nosowo), ale niech mi Panie wierzą nie ode mnie to zależy i nic na to nie poradzę. Sprawę tę potraktowano mocno biurokratycznie i trzeba czekać. O ile mają Panie siłę i ochotę, to proszę jutro o tej samej porze pofatygować się jeszcze raz”. Potem plótł coś o tym, że Muzeum na Lubicz nie leży w jego rejonie, ale że on jednak tym się zajął i znów to samo, że robi co może itd. (patrz kilka wierszy w górę). Czujemy, że mamy przed sobą prawdziwego adwokata. Jego mowa przypomina mi piosenkę ciągnącą się jak soliter, a właściwie nie mającą końca. Nauczyła mnie jej Lutka, zaczyna się od słów: „Raz piesek wpadł do kuchni ...” Po uściśnięciu dłoni pana mecenas, podniesione mocno na duchu i pokrzepione nadzieją na przyszłość, że i tak z tego nic nie będzie udajemy się na Lubicz, aby choć z daleka zobaczyć co się tam dzieje. Koło Barbakanu ustawili nasi okupanci wielki wóz firmowy Del-ka,

na którego dachu znajduje się megafon, a właściwie głośnik, zaś megafon jest wewnątrz auta. Tu dowiadujemy się, że Rosja wkroczyła na ziemie wschodnie Polski. Nie dajemy temu wiary, uważając to, tak jak i wiele innych wiadomości niemieckich za jeszcze jedną więcej „kaczkę” propagandową. Niestety jest to tylko smutna prawda. Otrzymaliśmy cios w plecy. Gdzie teraz podzieją się ludzie, którzy uciekali na Wschód? Co z nimi będzie? Nie chcę o tym myśleć, ale przecież zawsze lepiej znosić dołą złą czy dobrą razem. Nie! nie! Nie mogę o tym myśleć!

18 IX

Zaczął się nowy tydzień. Zastanawiam się jaki będzie jego koniec. W Muzeum dalej robota normalna. Pakujemy, sprzątamy i t.d. O 12-tej idziemy znów do Straży Obywatelskiej, aby się jak i poprzednim razem dowiedzieć, że nic z tego. Scena jak dnia poprzedniego. Pan Goryczko jest marnym aktorem. Różnica w jego mowie polegała tylko na tym, iż siadając przy stole ze zrezygnowaną miną załamał ręce i rzekł: „Proszę Pań to i tak wszystko jest dla nas bez wartości i będzie. Z jednej strony Niemcy z drugiej Rosja, to na co nam są teraz potrzebne zbiory etnograficzne polskie. Co nam teraz po tym”. Chciałam mu plunąć w jego piękny visage, ale żal mi się go zrobiło, bo to nawet nie najgorszy chłop, tylko tak się nagle, a może nie nagle, lecz w każdym razie załamał się. Załatwił tyle, że obiecali mu w Stadtkommandantur, że umieszczą te zbiory gdzieś w jednym pokoju i zamkną, zabezpieczając je w ten sposób. Zobaczymy czy tak rzeczywiście zrobią. Obecnie nic innego nam nie pozostaje jak działać na własną rękę. W czasie czekania w lokalu Straży Obywatelskiej przysłuchujemy się bardzo inteligentnej rozmowie jaką prowadzi sklepiczarka, która sprzedaje między innymi masło a jakimś batiarem krakowskim, który z rozwianą czupryną zarzuca jej pasek maślany (że masło sprzedaje w cenie 6 zł) a on jako człowiek neutralny musi temu zapobiec. Spisuje jakiś pan w sposób zwięzły i ścisły protokół, z którego wynika coś wręcz przeciwnego. Sprawa wreszcie dobiega końca i pan, protokół, oskarżona i neutralny opuszczają lokal straży; udając się na miejsce gdzie uprawiany jest pasek. Chwila ciszy zalega pokój. Mamy z Lutką książki, które czytamy. Ona sobie „Stawia bańki” Nowakowskiego, a ja jestem „W pogoni za pełnią życia” Harrisa. Na stole obok leży jakaś powieść, patrzę na okładkę i widzę tytuł bardzo aktualny: „Sodoma i Gomora”. Po chwili wtyka w nią nos znany nam pan malarz i zagłębia się za naszym przykładem w lekturę. Tak upłynął nam czas do przyścia pana mecenasa.

Dnia 19 IX

Była u nas dziś Iza, która cuda opowiadała o pozostałych „fischach” wawelskich, trzymających się obecnie kurczowo kasy wstępów do pokoi królewskich. Nikt jej nie odstępuje. Każdy chce ją mieć pod swoją wyłączną opieką. Iza kiedyś zrobiła im kilka mądrych docinków a propos oprowadzania żołnierzy niemieckich, jak dawnych wycieczek polskich. Również ma różne kłopoty w „Jedności”¹¹, gdzie gospodarują

¹¹ Polskie stowarzyszenie studentek Uniwersytetu Jagiellońskiego „Jedność” w Krakowie działało w okresie 1910-1939.

różne filantropki, ale z cudzej kieszeni. Opowiadały o tym, że kiedyś przysłali im do przenocowana kryminalistkę-żydówkę, której inne uciekinierki się bały i nie chciały z nią w jednym pokoju spać. Iza tak się tym zezłościła, że nasyłała jej takie męty społeczne do „Jedności”, że wieczór około 9-tej poszła do znanej w Krakowie wielkiej filantropki p. Róży Łubieńskiej, mieszkającej w tym samym bloku co „Jedność” i kazała jej sobie zabrać tę kryminalistkę i pilnować całą noc bo jej się ani śniło. Podobno były tam przy tym różne sceny, ale w końcu, ku wielkiej radości Izy, że filantropki na własnej skórze poznają to czym się zajmują, kryminalistka wraz ze swoim inwentarzem znalazła się w eleganckim mieszkaniu Łubieńskiej.

Lutka coś dziś nie bardzo dobrze się czuje. Ciągłe narzeka, że jej zimno. Po śniadaniu, a właściwie już około 1-szej tak zmarzła, że weszła na łóżko Resi i przykryła się kocem. Leży teraz i odpoczywa. Zrobiła sobie „dolce far niente”, patrzę się a ona leży do góry łydkami (nie wypada napisać inaczej), gdyż podobno tak lepiej się wypoczywa. Muszę już ją ściągnąć bo trzeba iść do domu. Chwilę temu leżałyśmy na tym łóżku Resi we trzy (tak nam zimno było) a ułożyłyśmy się jak sardynki w pudełku. Jeszcze teraz czuję brzeg łóżka, na całej lewej stronie ciała.

Dn. 20 IX

Popołudniu wczoraj byliśmy na Lubicz bo miało wyjechać wojsko, które tam stoi, ale niestety! Zostają jeszcze kilka dni. Chciałyśmy chyłkiem wynieść szopkę Esenekera¹². Zamary spełzły na niczym. W każdym razie w naszym poszukiwaniu przepustki nie ustajemy. Resia dała mi dziś kartkę, którą przyniesiono z P.C.K. od Tad. Gofrona, który pisze, że jest w niewoli u Niemców, mieszka w Kobierzynie i błaga p. Reinfussową o przyniesieniu mu coś do zjedzenia. Kartkę tę czytali wszyscy na Wawelu i każdy co mógł to przyniósł, bo Lutka, Resia i ja wybieramy się jutro do Kobierzyna. Dziś p. Bohuszowa na własną rękę posłała kogoś z jedzeniem dla Niego. Co prawda nie znamy go, ale doskonale wiemy kto to jest, więc bez żadnej obawy można mu pomóc, a przy nim i innym. W każdym razie Wawel poruszony sprawą jeńców udziela im pomocy. Dziś nie da się iść bo strasznie leje, tak, że po przyjeździe do Muzeum musiałam zmienić pończochy (chodzę w popielatych prążkowanych pończochach p. Romana, które mnie okropnie gryzą, a równocześnie przypominają mi dawne dziecinne lata), a także buciki, które suszą się teraz w rurze w kuchni. Z Lutką ma się sprawa podobnie, z tą różnicą, że na bosych nogach ma pantofle Resi, podczas gdy ja chodzę w ekspozycji muzealnym (kierpce). Pakujemy dziś do skrzyń rzeczy wełniane z Lubelszczyzny, Mazowsza, Kurpii i t.d. Musimy iść jeszcze po artykuły spożywcze do p. Muszkietowej, więc kończę babranie.

Dnia 21 IX

Ludzie z igły robią już nie widły, ale cały parkan żelazny. Wczoraj powiedziałam w domu, że idę jutro do Kobierzyna. Wszyscy mi przytaknęli. Po obiedzie przyszła dyr. Heli i oznajmiła, że rzeczy które są przeznaczone dla jeńców można posyłać

¹² Szopka krakowska wykonana przez Michała Ezenekiera około 1910 r.

tylko przez P.C.K., gdyż w przeciwnym razie dochodzą do rąk niewłaściwych. Że z jeńcami nie wolno się widzieć, że Niemcy odpędzają ludzi kolbami i t.d. Wszystko brednie, ale mucha. Na to nadeszła Ela, która powiedziała, że w Kobierzynie panuje czarna ospa, że absolutnie nie powinnam iść. Naturalnie Hela zawtórowała jej i dalejże na mnie, że nie pozwoli iść tam i t.d. To mnie doprowadziło do takiej pasji, byłabym ich wszystkich natłukła porządnie. Powiedziałam tylko kilka zdań dosadnych. Hamowałam się, bo było nas coś niecoś za dużo, ale wieczór powiedziałam Heli, co o tym wszystkim myślę. Wystarczyło!! Już drugi raz nie powie słowa. Lubię taką filantropię jak się siedzi w domu i ma się wszystkiego w bród, a czasem żre się różne wymyślne smakołyki, podczas gdy ci co się za nas bili cierpią głód i chłód. Współczuje im się mocno, ale nic się w tym kierunku nie robi. Ale ja im dam. Wszyscy muszą dawać dla jeńców, a my z Lutką jako, że mamy zdrowe nogi będziemy zanościć, przynajmniej raz w tygodniu.

Dziś wstałam przed 5-tą, aby pójść po chleb. Wyżebrałam 3 kg chleba. Zapakowałam jeszcze co mogłam i obie z Resią pojechałyśmy do Łagiewnik, gdzie na nas czekały Lutka i jej znajoma p. Ziuta. One mają również prowianty. Okazuje się, że razem mamy dla nich coś 12 kg chleba, trochę cukru, kielbasy, marmolady i t.d. Lutka wzięła trochę bielizny męskiej i żółty sweter z rękawami damski z zamkiem błyskawicznym na prawej, na piersiach. Strasznie kokieteryjna historia. Myślę, że największą zadymkę zrobi ten sweter. Przychodzimy do obozu jeńców po chwili błądzenia po Kobierzynie. Trafiliśmy najpierw do szpitala wariatów, gdzie myślałyśmy, że stacjonują jeńcy. Mówiono bowiem w Krakowie, że wypuszczono lżejszych wariatów, a cięższych zabito – zastrzelono. Tak, że szpital opustoszał, więc zajęli go Niemcy. I ta wersja, jak i wiele innych i różnorodnych, okazała się fałszywa. Jeńcy są w koszarach gen. Madalińskiego¹³. Na kartce wypisałyśmy imię i nazwisko czytelnie Tadeusz Gofron i czekamy chwilę. Nagle z daleka idzie ktoś w cywilnym ubraniu, granatowe spodnie i wiatrówka, z wojskowym. Mówię do Lutki: „patrz idzie Gofron, to na pewno On”. Lutka nie dowierza, lekko pokpiwa, niby na jakiej podstawie opieram swój sąd. Sama nie wiem. Brata tego pana znam z fotografii, a jego samego nigdy nie widziałam nawet na zdjęciu. Okazuje się, że miałam rację, że to ten, którego szukamy. Dajemy nasze pakunki, które zanoszą do siebie, a nam przynosi z powrotem plecaki. Rozmawiamy z nim chwilę przez parkan i dowiadujemy się, że walczył pod Przemysłem, gdzie bomba, czy granat przysypał go ziemią i przez to nie słyszy. Ogluchł od huku. Robią mu przepłukiwanie uszu. Pod Przemysłem p. Gofron dostał się do niewoli niemieckiej, z której uciekł, przebrany po cywilnemu, ale go wydali Ukraińcy Niemcom, kiedy szedł do Lwowa. Nie rozmawiamy długo, bo nie chcemy go narażać na brutalność strażników, a także on nie czuje się zbyt dobrze, kiedy nie dosłysz. Prosi, aby na drugi raz przynieść mu buty, bo te, [które] posiada spadają mu z nóg. Obiecujemy przyjść w poniedziałek. W drodze powrotnej obserwujemy ciągle krążące nad naszymi głowami samoloty niemieckie, które

¹³ Koszary im. gen. Antoniego Madalińskiego w Kobierzynie były jednym z obiektów powstałych w latach 1885-1890 w ramach rozbudowy Twierdzy Kraków. W okresie 1918-1939 mieściły się tam koszary 8 pułku ułanów, III i IV szwadronu. W czasie okupacji Niemcy urządzili tam obóz jeniecki. Obecnie dzieje tego miejsca upamiętnia pomnik wzniesiony przy ulicy Zawilej.

gonią w ilości dwudziestu kilku I samolot angielski, czy francuski, rozrzucający ulotki. Zdaje się, że pościg się nie udał i samolot koalicji umknął. W Łagiewnikach wступujemy do znajomych pań, które dają nam moc kwiatów. Umajone wracamy z tryumfem do domu. Jesteśmy z siebie zadowolone!

Miałam rację, sweter się udał. Gofron strasznie marzył, więc ogromnie dziękował za sweter. Ciekawa jestem jak on będzie w nim wyglądał?! Wrócił dziś z pod Zamocia p. Dubis.

Dnia 22 IX

Mam dziś przypadkowo dzienniczek w domu więc piszę. W Muzeum nie byłam, bo absolutnie nie mogłam. Rano umówiłyśmy się z Helą i p. Dubisową, że ja będę czekać dotąd w domu, dokąd p. Jadzia nie wróci z miasta z zakupów. Miał do Heli przyjść doktor, więc musiał go ktoś wpuścić. Czekam na doktora i robię robotę. Około godziny 10-tej rzeczywiście przychodzi, więc zadowolona myślę sobie, że na 11-tą zdążę do Muzeum. Tymczasem chwilę po jego przyjściu ktoś dzwoni. Patrzę przez okienko widzę tylko zabandażowaną głowę i czubek jasnych włosów. Otwieram – Wikcia. Okazuje się, że przebiegając przez ulicę wpadła, a właściwie silnie została potrącona przez auto niemieckie. Klamka od drzwiczek rozwaliła jej głowę nad skronią. Jeden cm niżej byłby z niej trup. Wzięli ją Niemcy do auta i silnie broczącą krwią zawieźli do szpitala na Wrocławską. Tam zrobiono jej prowizoryczny opatrunek. W skutek silnego napięcia nerwów i lęku aby nie zostać w szpitalu Wikcia cała skrwawiona przyleciała do domu. Doktor obejrzał ranę i orzekł, że cały ten opatrunek jest do niczego. Poszedł do domu po narzędzia, kupił zastrzyk przeciwężcowy, a dla nas wszystkich krowiankę do szczepienia¹⁴. Po silnym wygotowaniu narzędzi zrobił nowy opatrunek, klamerkami ściągnął ranę i owinął głowę bandażami. Pomagałam mu przy tym. Potem zrobił zastrzyk przeciwężcowy, a nas wszystkich domowników zaszczepił piórem takim do pisania. Cała ta historia skończyła się tuż przed obiadem. Wikci wciąż robiło się niedobrze, mam wrażenie że powodem było odprężenie nerwowe i to że w szpitalu nawąchała się tych różnych leków. Resia została u nas na noc. Wieczór zrobiła masło, gdyż mamy maśniczkę i dobrą śmietanę kwaśną, a masła nigdzie nie można dostać. Fabrykujemy go we własnym zarządzie. Mamy z tego podwójną korzyść: 1) masło, 2) maślanekę, za którą przepadamy, a dobrej nie można dostać w Krakowie. Już idę spać, bo późno, a dziś znów miałam miły dzionek.

Warszawa się broni!!!

Dnia 23 IX

Lutka już była w Muzeum jak przyszłam. Opowiadam jej wczorajsze przeżycia, a ona znów dzieli się ze mną swymi. Szczególnie ważny jest fakt, że do Muzeum przychodzą teraz różne ważne osoby i dowiadują się o jeńców. Ona musiała ich objaśnić o wyniku naszej wędrówki do Kobierzyna.

¹⁴ „Krowianka” popularna nazwa szczepionki przeciwospowej sporządzonej na bazie płynów z pęcherzyków ospowych chorych cieląt. Wynaleziona w Anglii w 1796 r. przez E. Jennera.

Pakujemy dalej do pak eksponaty. Na drugie śniadanie zjadamy sałatkę z pomidorów „czarodziejskich” pijemy słodką herbatę i wcale nie odczuwamy nędzy wojennej. Trochę politykujemy. Idziemy o 1.30 do Izy do Zbiorów państw., aby jej zanieść teczkę.

dnia 24 IX – niedziela

Wczoraj po południu musiałam iść do miasta kupić sobie buty na jesień, bo nie miałam i po płaszcz. Butów i pończoch brak w Krakowie. Kupuje się to co jest, a nie to czego się pragnie. Dobrze, że dostałam silne buty i znów nie tak bardzo drogie. Płaszcz ten nowy mam wolny i śmiesznie w nim wyglądam. Myślę jednak, że się do niego przyzwyczaję. Po nabożeństwie przyszedłam do Muzeum, gdzie umówiłam się z Lutką. Mamy iść do p. Sewerynowej może ma coś starego dla jeńców. Wszędzie cisza i spokój. Nikt jeszcze nie wrócił z wawelasów. Kiedy zacznie się jakiś ruch tu na Wawelu? Nic tylko tupot butów żołnierskich i ostra komenda wojskowa niemiecka. Straszne!

dnia 25 IX

Od rana biegałam po różnych domach. Od p. Manclowej dostałam chleb, od p. Sewerynowej stare buty doktora, skarpety i zupy Knorra, od p. Dubisowej ciepłą jagerowską bieliznę. W Łagiewnikach kupiliśmy jeszcze zup Maggi’ego, trochę papierosów, a jeszcze w sobotę w elektrowni miejskiej kupiliśmy grzejnik elektryczny, bo prosili o niego. Nic ciepłego jeńcy nie dostają. Czasem tylko herbatę. Tak obciążeni idziemy do Kobierzyna. Pogoda chmurna, nie pada, ale za to wiatr nienajgorszy. Duże, że hej! Myśmy ubrały się trochę za lekko, to też aby nie przemarznąć idziemy szybko. Maszerując opowiadamy sobie różne historyjki, aby nie myśleć o zimie. W Kobierzynie mało osób, można to było przewidzieć. Na taką pogodę nikomu nie chce się nosa z domu wystawić. Z p. Gofronem rozmawiamy chwilę, ale nie długo, bo zimno, a powtórę odpędzają kolbami od sztachet. Z powrotem lecimy wprost, a nie idziemy. Mnie jeszcze zimniej, bo przedtem na plecach miałam chlebuś ciepły, który mi je ogrzewał, teraz ten ciepły został w Kobierzynie. Umawiamy się z Lutką na popołudnie. Ona ma przyjść do mnie o 4-tej, a potem mamy iść na Wawel do ks. Figlewicza, poprosić go o odprawienie mszy św. za duszę ś. p. Seweryna Udzieli. Jutro wypada druga rocznica jego śmierci.

Lutka zamiast przyjść o umówionej porze przyszła o 5-tej. Już się lekko ściemniało gdy dochodziłyśmy na Wawel, przy tym deszcz zaczął siec niemiłosiernie, a my bez parasoli. Zmoknięte przychodzimy na Wawel i przy katedrze spotykamy ks. Figlewicza, powracającego skądś. Prosimy go o odprawienie mszy św. Zgadza się bardzo chętnie. Umawiamy się, że jutro o 8-mej.

Idziemy do Muzeum i czujemy, że p. Reinfussowa, albo p. Roman powrócili. Resia, która miała być o 7 rano u mnie nie była w ogóle, a wiedziała, że siostra zostawi jej u nas mleko, które przegotowane niosę na Wawel. Rzeczywiście!! Wróciła jeszcze wczoraj p. Reinfussowa zmęczona, umordowana, z piętą odbitą i obierającą. Była aż pod Biłgorajem. Kawał świata i jak na Jej nogi i jej siostry to był to spacer bardzo porządny. Dobrze, że tylko wszystko na pięcie się skończyło. Z Wawelu jeszcze kilka osób wróciło do swych gniazd rodzinnych.

dnia 26 IX

Wczoraj w drodze powrotnej z Wawelu do domu miałyśmy przygodę. Obecnie wolno chodzić do 9-tej, ale ulice niektóre tylko oświetlone, więc bardzo niemiło kręcić się później niż o 7. W Rynku byłyśmy o godz. 6.45. Nagle naprzeciw Fridleina wyskakuje jakiś typ – cywil w beretce. Zdaje się, że to jakiś wariat z Kobierzyna i trafił swój na swego. Nam również Kobierzyn nie dziwny. Osobnik ten staje przed nami i zapytuje po niemiecku czy mamy przepustki. Ja z bezczelną miną odpowiadam, że tak, ale pytam również po niemiecku czego sobie życzy, przecież wolno chodzić do 9. Na to on się oburza i krzyczy, że to nie szkodzi, ale on musi widzieć przepustki. Wreszcie podnosi rękę do góry i mówi: „Ich bin von Gestapo”. Ja wyciągam spokojnie przepustkę jaką mam na Wawel, chcę zyskać na czasie, aby on się opanował, albo żeby ktoś nadszedł. Akuratnie jak wymiół nikogo!! Tymczasem on gada i gada, aż w końcu zapytał się gdzie my idziemy. Wtedy Lutka powiedziała po niemiecku, że do domu. Teraz twierdzi, że gdyby nie jej niemczyzna niewiadomo co by było. Ona nas uratowała. Heca śmieszna, ale ona jednak nas nauczyła, że nie należy chodzić późno, bo mogą nas spotkać różne nieoczekiwane historie. Dziś byłyśmy na mszy św. za dyrektora Udzielę, a potem słuchałyśmy opowiadania p. Reinfussowej o jej wędrownie. W Muzeum kończymy pakować graty.

dnia 27 IX

Dzień dzisiejszy podobny zupełnie do poprzednich. Pakujemy eksponaty. Niemcy chcą, żeby im otworzyć Muzeum, ale ja nie mogę się na to porwać. Nie znam na tyle niemieckiego to raz, a po wtóre z żołdactwem sama sobie nie dam rady, a Lutka powiedziała, że mi nie pomoże. Zresztą szkoda gadać. Jak wróci któryś z „szefów” niech o tym decyduje.

(Po południu)

Zaraz po obiedzie przyszedł Kowalski, którego przysłała p. R-wa, abym natychmiast poszukała lekarza tego, co chodzi do mojej siostry oglądać nogę i przyszła z nim na Wawel. Lekarza nie mogłam znaleźć, bo gdzieś latał po mieście, więc powiedziałam tam u niego w domu, że będę czekać na bramie Wawelu od 5-6 (wieczór), żeby doktora przepuściła straż. P. Borgiel nie chciał mi dać na jeden raz przepustki, więc tylko zapowiedział temu na bramie, żeby przepuścił lekarza. Jednak lekarz nie przyszedł, a już 6-ta, więc idę do domu, bo później samej nie przyjemnie wracać.

dnia 28 IX

[Poniżej wpis innym charakterem pisma]

I tu pisanie pamiętnika urwało się. Może dlatego że właśnie wróciłem z „wycieczki” na wschód i Zocha się czymś innym zajęła. Pamiętnik znalazłem i przeczytałem 20 XI 1994 już w 2 lata po śmierci Zochy. Smutno.

Roman